

# Dogmat wroga

18 grudnia 2024

Żaden polski polityk ani znawca realiów międzynarodowych nie był i nie jest dotąd w stanie wytłumaczyć społeczeństwu, poza krzykliwą retoryką „zaklęć” i „świętych” dogmatów, jaki jest rzeczywisty cel polskiej polityki wobec Ukrainy.

Upieranie się przy negowaniu Rosji, nakładanie na nią kolejnych sankcji z jednoczesnym zbrojeniem Ukrainy i pompowaniem w nią pieniędzy dla podtrzymania rządów Wołodymyra Zełenskigo, okazało się drogą donikąd. To, że Rosja „musi” przegrać, nie może być celem, jest co najwyżej upartym postulatem, „pobożnym życzeniem”, naiwnym oczekiwaniem, nieliczącym się z realiami, własną niemocą i własnym interesem. Świadczy raczej o jakimś opętaniu psychozą, która nie poddaje się racjonalnej analizie.

Na tle „trzeźwiejącego” społeczeństwa można pokusić się o projekcję, że wybory prezydenckie w 2025 roku wygra w Polsce ten kandydat, który przestanie opowiadać głupstwa o „naszej wojnie”, o tym, że Ukraińcy walczą o „naszą wolność” i o tym, że „samozwańcza adwokatura” na rzecz integrowania z Europą ukraińskich „Dzikich Pól”, z kleptokratycznym reżimem i oligarchiczną własnością, jest jakąś szczególną misją kolejnych polskich rządów. Kandydaci nieumiejący odpowiedzieć na pytania, jak ukrócić ukraińskie rozpasanie w różnych miastach Polski (krakowski Rynek Główny stał się tego symbolem), niezależnie od tego, z jakiego skrzydła POPYŚ pochodzą, poniosą sromotną klęskę. Ludzie bowiem są zmęczeni tą „żywołową gościnnością” i utrapieniami ze strony niepożądanych przybyszów.

Trwający od ponad dwóch lat zamęt pojęciowy o „naszej wojnie” pokazuje, jak łatwo można było zmanipulować opinię społeczną, aby dzięki stosunkowo prostemu zabiegowi retorycznemu zdobyć poparcie dla potężnego zaangażowania po stronie ukraińskiej

oligarchii. Faktycznie jednak Polacy wraz narodem ukraińskim stali się ofiarami cynicznej gry Zachodu. Posługiwanie się tandetnymi sloganami, iż jesteśmy „sługami narodu ukraińskiego” było dowodem infantylizmu politycznego, ale i gorliwości neofitów, którzy zostali wyznaczeni do roli „awangardy” w podsycaniu tego konfliktu. Nastaje czas, aby wyraźnie zrewidować tę szkodliwą politykę.

W tzw. establishmencie politycznym i kręgach analitycznych wszyscy jak jeden mąż głoszą, że chodzi o obronę integralności terytorialnej Ukrainy i jej suwerenności. Te przymioty jednak Ukraina traciła już od tzw. pomarańczowej rewolucji 2004 roku. Dyplomacja polska nie była obojętna w tych procesach, wspierając tzw. westernizację sąsiada. Aneksja Krymu przez Rosję oraz wybuch separatyzmów na wschodzie były wynikiem kolejnej „dziwacznej rewolucji”, którą nazwano „rewolucją godności”, choć z rzeczywistą godnością narodu ukraińskiego ani wtedy, w 2014 roku, ani tym bardziej obecnie nie miała i nie ma nic wspólnego. Było to raczej upokarzanie Ukraińców poprzez kolonialną grabież ich surowców, czaroziemów i wolności. W procesach tych brała udział miejscowa, posowiecka, ale i międzynarodowa oligarchia, wielkie korporacje i rządy, ale to temat tabu. Na sam termin „oligarchów” nałożono embargo, choć przecież wiadomo, że to oni zdecydują o kształcie ustrojowym Ukrainy na kolejne dziesięciolecia. To własność decyduje o wolnościach, a nie odwrotnie. W Polsce praktycznie ten temat nie występuje w żadnej postaci w dyskursie politycznym.

Największy problem polskiej polityki wschodniej (jeśli jest jeszcze uzasadnione użycie tego terminu) polega na tym, że w okresie III RP nie wypracowano spójnej doktryny, która zawierałaby własne, zgodne z interesem narodowym założenia metodologiczne postępowania wobec kolejnych ekip w Kijowie. Ogłoszone w czasie rządów Hanny Suchockiej „strategiczne partnerstwo” było nonszalancką i propagandową tromtadracją, bez przygotowania i przemyślenia. Przede wszystkim potrzebna

była wtedy zgodna z realizmem politycznym wykładnia głębokich uwarunkowań wzajemnych relacji – od geopolityki począwszy, poprzez geohistorię i geokulturę, na geoekonomii i mispercepcji kończąc. Pojęcia te dla wielu brzmią dość abstrakcyjnie, ale chodziło przede wszystkim o rozpoznanie tego, w jakim układzie sił znalazły się oba państwa, jaki ciężar historii dźwigają na swoich barkach, łącznie z pretensjami, uprzedzeniami i poczuciem krzywd, jak podzieleni są ludzie pod względem nawyków kulturowych, obyczajów i konfesji, wreszcie jakimi potencjałami dysponują państwa, aby zacząć myśleć w kategoriach regionalnej wspólnoty interesów.

Do dzisiaj oficjalnie żaden polityk po stronie polskiej (co innego słychać po stronie ukraińskiej) nie jest w stanie przyznać, że pod względem stosunku sił Ukraina może w przyszłości wyrosnąć nie tylko na konkurenta w regionie Europy Wschodniej, ale regionalnego rywala Polski w procesach integracyjnych w Europie. Dotychczasowi sojusznicy Polski na Zachodzie, w tym przede wszystkim Niemcy, dołożą wszelkich starań, aby Ukrainę wywindować na lidera regionu, co wynika z ich wizji Mitteleuropy i z dotychczasowego zaangażowania. Ba, sami rządzący Polską w ramach PO PiS nalegają na szybkie przyjęcie Ukrainy do struktur integracyjnych Zachodu – Unii Europejskiej i NATO – aby ewidentnie pogorszyć swoją sytuację, jeśli spojrzy się choćby na konkurencyjność rynku rolnego, przemysł przetwórczy czy obsługę transportową.

Czy któryś z polskich polityków jest w stanie sobie wyobrazić, że im silniejsza będzie Ukraina, tym większa będzie jej tendencja do powetowania sobie krzywd historycznych i odpłacenia Polsce roszczeniami terytorialnymi i banderowskim nacjonalizmem?

Władze ukraińskie korzystają obecnie z osobliwego immunitetu i legitymizacji wynikającej ze stanu nadzwyczajnego, jakim jest wojna, oraz bezwarunkowego poparcia sił zewnętrznych. Prezydent Zełenski wraz z szefem gabinetu Andrijem Jermakiem dysponują nieograniczoną władzą, która jednak wisi na włosku

przyzwolenia ze strony mocarstw zachodnich. To od nich zależy jakość relacji z Polską, której władze są zawiedzione brakiem wdzięczności za udzieloną pomoc w wojnie z Rosją. Ukraińcy nie wykazują jednak dobrej woli, aby „rozbroić” najtrudniejszą historyczną bombę, w postaci zezwolenia na ekshumację ofiar rzezi wołyńskiej. Obecnie jest już wiadomo, że takie akty są niebezpieczne przede wszystkim dla reżimu ukraińskiego, gdyż odsłoniłyby rozmiar zbrodni, popełnionych przez „bohaterów” spod znaków OUN i UPA.

Ze strony polskich elit politycznych jest to oczywista klęska, zapowiadająca szkodliwe skutki dla własnych interesów. Na dodatek nikt nie bierze poważnie pod uwagę i takiego wariantu, że w razie odwrócenia wektorów polityki ukraińskiej i skierowania ich z powrotem na wschód, czy choćby w stronę Chin, Polska pozostanie osamotniona, a nawet obciążona winą za niepowodzenia ukraińskie w konflikcie z Rosją.

Co się tyczy następstw wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, to mamy do czynienia z zabawnym wypieraniem wcześniejszego poparcia dla dotychczasowej ekipy demokratów w administracji amerykańskiej. Choć nikt z polityków polskich tego tak nie nazywa, ale dokonał się zwrot w społeczeństwie amerykańskim od tzw. misyjnego internacjonalizmu i globalizmu w stronę zdystansowania się, protekcjonizmu i obrony własnych interesów. To znaczący sygnał, że elity liberalne w Europie, a także w Polsce muszą liczyć się z odrodzeniem tendencji antyunijnych, a nawet antyzachodnich. Rosja mimo sankcji i prób izolowania jej w systemie międzynarodowym wyrasta obecnie na jednego z liderów nowego ugrupowania BRICS+, kojarzonego z Globalnym Południem. Należy więc z tego powodu spodziewać głębokiej dekompozycji w stosunkach Ameryki z tzw. Resztą Świata.

Wydawało się, że po zakończeniu „zimnej wojny” między komunistycznym Wschodem a kapitalistycznym Zachodem nigdy już nie powtórzy się konfrontacja ideologiczna między państwami na taką skalę, jak po II wojnie światowej. Tymczasem na miejsce

starych podziałów w XXI wieku pojawiły się międzynarodowe pęknięcia na tle biedy i bogactwa, rewizji dotychczasowych układów sił i zachowania status quo, globalizacji gospodarczej i uniwersalizacji kulturowej przeciwko nacjonalizmowi i partykularyzmu, aksjologii lewicowo-liberalnej i konserwatywno-tradycjonalistycznej.

Rosja zajmuje w tych dychotomiach stanowisko opozycyjne wobec wszystkiego, co kojarzone jest z Zachodem. Z tych powodów – po podniesieniu się z zapaści lat pięćdziesiątych ub. wieku – zdecydowanie broni nie tylko swojego stanu posiadania, ale i aspiruje dzięki atutom surowcowo-jądrowym do zabierania ważnego głosu na temat rekonstrukcji ładu międzynarodowego. Stabilizuje, a nawet wzmacnia swoją pozycję, co po stronie zachodniej spotyka się z frontalnymi atakami.

Po „zimnej wojnie” szeroko pojęty Zachód odziedziczył w stosunku do Rosji wrogość, jako „siłę nośną” i „siłę interwencyjną”, nadającą sens działaniom zbiorowym NATO, a także Unii Europejskiej. Mimo rozmaitych deklaracji z lat pięćdziesiątych ub. wieku te gremia ewoluowały nie w stronę osiągnięcia z Rosją wspólnych, pożądanych celów (niepodzielne bezpieczeństwo, komplementarna gospodarka, rozbrojenie, walka z terroryzmem i ociepleniem klimatycznym), lecz przeciw jej aspiracjom powrotu do normalności i wpisaniu się we wspólnotę międzynarodową ze swoją odmiennością. Okazało się dość szybko, bo już podczas pierwszej kadencji prezydenta Władimira Putina, że dla takiej „osobnej” Rosji, myślącej w kategoriach mocarstwowych, nie ma w tej wspólnotcie, dowodzonej przez Zachód, miejsca.

Wrogość jest kategorią stopniowalną i w różnych okresach mamy raczej do czynienia z jej relatywizacją niż absolutyzacją. Tylko państwa zdecydowane na wzajemne unicestwienie na drodze wojny kierują się „wrogością nienawistną”, wręcz totalną. Wrogość wyraża się w działaniach zbiorowych, skierowanych przeciw innemu państwu (państwom) i jego (ich) przywódcom. Mierzy się ją intensywnością przypisywania im negatywnych

cech, odbiorem emocjonalnym zagrożeń od nich płynących, wreszcie gotowością szkodzenia oraz ofiarnością poświęceń w obronie swoich racji.

We współczesnych stosunkach międzynarodowych nikt już nie deklaruje takiej wrogości, której celem byłoby całkowite unicestwienie jakiegoś narodu czy państwa. Postęp cywilizacyjny, wyrażający się w normatywnej obronie interesów egzystencjalnych państw (zwłaszcza prawa do ich istnienia i trwania) oraz zabezpieczenia technologiczne, w postaci broni masowej zagłady i zdolności zadania ciosów odwetowych wobec potencjalnych napastników spowodowały, że wojna totalna może się rodzić jedynie w umysłach chorych osobników. Nie oznacza to, że największe potęgi nie mają gotowych scenariuszy zagłady nuklearnej. Warto na ten temat sięgnąć choćby do świeżo wydanej książki Annie Jacobsen pt. „Wojna nuklearna. Możliwy scenariusz” (Kraków 2024).

W odniesieniu do Rosji nie brakuje takich fantazji, w których jej rozbicie, rozczłonkowanie czy całkowite wyeliminowanie nazywane jest „polityczną koniecznością”, dyktowaną jej „immanentnym złem”. Taki wróg zasługuje na miano „obiektywnego”, jak określano Żydów w doktrynie i praktyce hitlerowskiej. Wróg „obiektywny” ma cechy niezbywalne, tzn. nie podlega żadnej zmianie, reformie, naprawie czy nawróceniu ze względu na cechy przyrodzone, wręcz metafizyczne. To one wywołują absolutyzację wrogości, zakładającą zastosowanie ekstremalnych środków.

Wrogość wobec Rosji ma być bezwarunkowa i bezkompromisowa. A mówiąc słowami Witolda Modzelewskiego, jest „absurdalna i wręcz głupia”, gdyż zamyka drogę do jakichkolwiek ustępstw. Przypomina to zamierzchłe czasy, gdy konflikty kończyły się upokarzaniem pokonanych stron. Na to w przypadku dzisiejszej Rosji się nie zanosi. Zdobyła ona przewagę w wojnie na wyniszczenie, co z jednej strony prowokuje europejskie elity do dalszego pomagania Ukrainie, ale z drugiej przejawia się w coraz poważniejszej narracji o konieczności jak najszybszego

zamrożenia konfliktu.

Jak nietrudno się domyślić, całe przytoczone rozumowanie jest oparte na myśli politycznej Carla Schmitta (zob. Carl Schmitt, „Teologia polityczna i inne pisma”, Warszawa 2012), którego recepcja pośród elit rządzących w Polsce jest raczej rachityczna. Niemniej posługują się one w swoim myśleniu i działaniu dylematem ciągłego wyboru między wrogiem a sojusznikiem. Przy czym pojmowanie wrogości w kategoriach absolutnych i niemal metafizycznych prowadzi do szaleńczego uzależniania się od każdego protektora, nawet gdy grozi to upodleniem, utratą godności czy rezygnacją z podmiotowego traktowania. Ponadto wrogość Polaków i Polski wobec Rosji i Rosjan ma charakter pierwotny, rudymenarny, osadzony głęboko w licznych idiosynkrazjach, natomiast sojusze są wtórne, zmienne i najczęściej instrumentalne. Te ostatnie przeważnie zawodzą w czasie próby, czego Polska doświadczyła choćby w 1939 roku w obliczu napaści Niemiec hitlerowskich.

Brzmi to obrazoburczo, ale obecny sojusz polsko-amerykański jest w dużej mierze mistyfikacją, przykrywającą jednostronną zależność, zwłaszcza w dziedzinie zakupów drogiego uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Także amerykańskie bazy na terytorium Polski są podstawą fałszywej chwały, gdyż służą przede wszystkim globalnej hegemonii Ameryki, a jedynie przy okazji poprawiają samopoczucie polskich polityków. Polska – mimo propagandowych deklaracji – nie ma żadnego traktatowego zabezpieczenia, ani uprzywilejowanego statusu w relacjach z USA. Kolonialny kompleks wszystkich ugrupowań na polskiej scenie politycznej wobec elit Waszyngtonu, a także nieumiejętność emocjonalnego dystansowania się wobec bohaterów amerykańskiej polaryzacji wewnętrznej bynajmniej nie budują optymistycznej perspektywy.

Nie ma żadnych gwarancji, że w razie próby zaatakowania któregoś z 32 państw członkowskich NATO, wszystkie pozostałe udziela napadniętemu państwu skutecznej pomocy. Przede wszystkim z art. 5 traktatu waszyngtońskiego, zawierającego

opis mechanizmu casus foederis, wcale nie wynika automatyzm pomocy, a poza tym operacyjnie liczy się jedynie potencjał państw najsilniejszych – USA, Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec – które zanim przystąpią do udzielania pomocy sojuszniczej, zastanowią się nad obroną własnych interesów.

Patologiczna potrzeba oddawania się pod opiekę egoistycznego mocarstwa czy nie do końca sprawdzonych pod względem skuteczności sojuszy wielostronnych jest wynikiem szczególnego zniewolenia umysłów polskich decydentów. Przyjęli oni za swoje credo oparcie się na zjednoczonej sile Zachodu, z jednoczesnym odrzuceniem indywidualnej dyplomacji. Nie wyobrażają oni siebie jako asertywnych rozmówców, perswazyjnych negocjatorów czy też kompetentnych graczy w plurilogu międzynarodowym. Uzależniają się od jednej, hegemonicznej i atlantyckiej opcji, nie rozumiejąc, że w ciągu trzech dekad transformacji ustrojowej uwarunkowania międzynarodowe protektoratu amerykańskiego uległy zmianie, a procesy integracyjne Europy zmierzają w kierunku sprzecznym z zachowaniem niezależnej substancji narodowej.

Okazuje się, że odważny pluralizm wektorowości zewnętrznej jest możliwy nawet w przypadku państw mniejszych od Polski, jakimi są Węgry, a także liczącej się w potencjale euroatlantyckim Turcji, które to państwa potrafią zabiegać o swoje zyski i korzyści na wielu azymutach. Nie tracą też reputacji, tak jak to dzieje się w przypadku Polski, która mimo „samopochwalnej” retoryki rodzimych polityków oraz komplementów amerykańskiego ambasadora, a raczej „gubernatora” czy „lorda protektora”, Marka Brzezińskiego, nie cieszy się uznaniem ani poważaniem w środowisku międzynarodowym. Osobiste sympatie Donalda Tuska w kręgu unijnych kumpli nie zastępują tego, co nazywamy statusem państwa „poważnego”, uznaniem dla jego osiągnięć i ról międzynarodowych.

Wrogość wobec Rosji oślepia nie tylko decydentów, ale i całą masę akolitów władzy – mediów, ekspertów czy bezrefleksyjnych „kibiców”. Zwalnia z wysiłku myślowego, usprawiedliwia

prymitywne atawizmy, a także uwiarygadnia ich przekonanie o własnym patriotyzmie. Koncentrując się na zwalczaniu niezależnych poglądów i analiz, doprowadzono w Polsce do intelektualnego paraliżu fundowane przez państwo i przez obcych ośrodki analityczne, które bezrefleksyjnie, albo z zapałem neofitów wspierały niekończącą się i bezsensowną wojnę na Ukrainie, nie zwracając uwagi na jej koszty ludzkie i materialne. Groźba wyrwania się konfliktu spod kontroli w stronę użycia broni jądrowej jest w Polsce nie tylko powszechnie lekceważona, ale obudowywana szaloną argumentacją, że Rosja nie może sobie pozwolić na jej użycie, bo przecież ma przeciwko sobie cały arsenał nuklearny NATO. Obiektywnie wojna nuklearna unicestwi wszystkich. Są jednak subiektywne granice wytrzymałości i cierpliwości, których nie wolno bagatelizować.

Podważanie racjonalności zachowań Władimira Putina świadczy o absolutnej ignorancji władz, które porażają swoim dyletantyzmem w odczytywaniu intencji mocarstw i ich logiki rywalizacyjnej. Polscy politycy nie rozumieją, czym są interesy żywotne mocarstw, na czym polega Realpolitik, równoważenie sił, reguły hierarchicznej subordynacji i prawa zwycięzców do dyktowania reguł nowego porządku. Rozlega się sporo wrzasku medialnego na temat groźby „nowego Poczdamu”. Mało komu przy tym przychodzi do głowy, że każdy nowy porządek był dyktowany przez obozy zwycięskie. Wiele wskazuje na to, że także i tym razem Rosja znajdzie się w położeniu zwycięzcy. Paradoks jednak będzie polegał na tym, że na stole negocjacji pokojowych będą te same propozycje, które Rosjanie zgłosili już w grudniu 2021 roku.

Polska argumentacja prowojenna nie zawiera żadnych dowodów na to, że wynik starcia strategicznego z Rosją okaże się korzystny. W kalkulacjach zwycięstwa bazuje się nie na twardych danych dotyczących możliwości i zasobów rosyjskich, lecz na supozycjach i wyobrażeniach o swoich nadzwyczajnych możliwościach. Celowo upowszechnia się nie wiadomo przez kogo wykoncypowaną groźbę, że Rosja zamierza zaatakować państwa

NATO w najbliższych latach (2026-2030). Nikt publicznie nie pyta, skąd bierze się ta wiedza. Kto jest tą Pytią czy Kasandrą, które wiedzą lepiej od samej Rosji, co stanie się z jej polityką bezpieczeństwa? Być może chodzi jednak o stworzenie takiego przekonania, że nawet gdyby sama Rosja nie chciała dokonać agresji, to trzeba będzie ją do tego sprowokować, jak to się stało w 2022 roku. Samospełniające się przepowiednie są na rękę wszystkim podżegaczom wojennym.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: [MyslPolska.info](http://MyslPolska.info)